

Góra dla leszczy

HiMountain Elbrus Winter Expedition

Wejście na tę samą górę latem i zimą – jak ma się jedno do drugiego? Chyba można by to ująć tak: zimą czasem wyjście z namiotu za potrzebą jest większym wyczynem niż latem wejście na szczyt. I tak chyba jest z Elbrusem. Licznie odwiedzany i pogardliwie nazywany „góram dla leszczy”, nawet w sezonie letnim potrafi pokazać pazury. Najbardziej jednak o należnym sobie szacunku przypomina zimą.

Zawsze chciałam pojechać w Kaukaz. Ale na Elbrusie nie byłam. Bo to przecież łatwa góra, szkoda pieniędzy, lepiej od razu uderzać na siedmiotysięczniki. Jednak myśl o Kaukazie pozostała i po udanym trawersie Mont Blanc w 2008 r. zaczęła kiełkować w pomysł nieco szalony – dlaczego by nie spróbować Elbrusa zimą? Marzenie o zrobieniu tego na nartach szybko zostało zweryfikowane przez rzeczywistość. Okazało się, że w wyższych partiach tej latem śnieżnej góry zimą jej zbocza pokrywa twardy lód. Pojawił się też standardowy problem zimowy – skład. Raz, że trudno zebrać ekipę, mającą wolne w tym samym czasie. Dwa, że większość ludzi jest normalna i na takie rzeczy się po prostu nie pisze.

A jednak kilkoro nienormalnych się znalazło. Całą ideę przed porzuceniem ocalił Paweł Szaniec ze Świętokrzyskiego Klubu Alpinistycznego. Pomysł podłapały także dziewczyny z tworzącego się właśnie Female Team. Wyjazd postanowiłyśmy potraktować jako trening przed letnią „Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition”, a zarazem jako sprawdzenie, czy będąc kobietami mamy zimą w górach wysokich jakiegokolwiek szanse działania. Ostatecznie w Kaukaz wyruszył skład trzyosobowy: Paweł, Asia Stasielak z KW Warszawa oraz ja, reprezentując oczywiście KS Kandahar. Nikt z nas nie znał góry z lata. I dobrze, bo byłoby za łatwo.

Wyjazd stał się częścią szerszego projektu ekspedycyjnego Kandaharu, objętego patronatem honorowym PZA oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego i Krakowskiej AWF. Jego głównym wydarzeniem będzie letnia wyprawa na Chan Tengri i Pik Pobiedy. Zimowa wyprawa na Elbrus mogła dojść do skutku przede wszystkim dzięki firmie HiMountain, która wyposażyła nas w odzież, śpiwory i namiot, jak również dzięki pozostałym sponsorom całego projektu: Centrum Wspinaczkowemu Reni Sport, które umożliwiło nam uczęszczanie na sekcję wspinaczkową, firmie Xann Design, która wsparła nas finansowo, Inhead – twórcy naszej strony internetowej, Olympus Polska, który wyposażył nas w aparaty fotograficzne, Rakiety.pl – firmie, która wypożyczyła nam rakiety śnieżne oraz Lufthansa City Center, które wsparło nas przy zakupie biletów lotniczych. O rozgłos projektu dbają patroni medialni: Radio Kraków, TVP Kraków, magazyn National Geographic Traveler, magazyn Góry oraz portale: Onet.pl Podróże, Wspinanie.pl, Turnia.pl, Ceneria.pl, E-gory.pl, Trekandmore.pl, NEWW Polska oraz krakowski Klub Podróżników i magazyn Obywatel.

Gdy w sobotni poranek 14 lutego opuszczaliśmy zasypany śniegiem Kraków, towarzyszył nam lekki niepokój. Skoro w Polsce taka zima, to co będzie tam, w Kaukazie? Nasze obawy

pogłębiły się na widok zimowej scenerii Szeremietiewa. Na razie wszystko szło niespodziewanie świetnie. Bez przygód jednak nie mogło się obejść. Po noclegu na karimatach na Szeremietiewie II, niespodziewanie zobaczyliśmy, że jedyny samolot o godzinie, w której miał odlatywać nasz, leci nie do Mineralnych Wód, a do... Hongkongu. Nasz, jak się okazało, miał lecieć z Szeremietiewa I. W trzy minuty zwinęliśmy cały „lotniskowy biwak”, znaleźliśmy wyjście, dopadliśmy autobus, uniemożliwili kierowcy odjazd bez części ekipy oraz plecaków. Na samolot zdążyliśmy.

W Mineralnych Wodach zaskoczyła nas... wiosna. Podobnie wiosenny krajobraz roztaczał się wokół nas podczas całej podróży busikiem z szalonym panem kierowcą do Azau u stóp Elbrusa. Ceny noclegów są tu dostosowane do zamożnej moskiewskiej klienteli, przyjeżdżającej na narty. Rozbiliśmy więc namiot niedaleko dolnej stacji kolejki. Była niedziela wieczór.

W poniedziałek obudziliśmy się podduszeni. Na 2200 m n.p.m - co jest? Okazało się, że w nocy zima wróciła w Kaukaz. Byliśmy zasypani po dach. „Wyprawa” do położonego kilka kilometrów niżej Terskolu w celu zakupu gazu i jedzenia oraz zarejestrowania się u ratowników, okazała się nie lada przedsięwzięciem. Na szczęście maldunek OVIR za niedużą opłatą zadeklarowała się zorganizować pani z kiosku w Azau.

We wtorek w góry nie wyszliśmy. Załamanie pogody trwało nadal. Chcąc umyć zęby zaproponowaliśmy panu, odśnieżającemu parking przed hotelem Alpina - jak się miało okazać kierownikowi tegoż hotelu – biznes. Odśnieżymy parking w zamian za możliwość skorzystania z dobra cywilizacji, jakim jest łazienka. Skończyło się na... spaniu, jedzeniu, prysznicu, możliwości zostawienia depozytu. Za darmo! Trochę się stresowaliśmy, zwłaszcza damska część wyprawy. Okazało się jednak, że to po prostu gościnność, jaką nakazuje kultura zamieszkujących te tereny Bałkarów. Na szczęście od imprezy się wykręciliśmy, bo inaczej kolejnego dnia też byśmy w góry nie wyszli.

W środę wreszcie przywitała nas piękna pogoda. Dylemat, czy w imię czystości stylu iść nartostradami wzdłuż kolejki, czy może chcąc zmieścić się w oknie pogodowym skorzystać z niej, rozwiązał się sam. Dolna kolejka nie działała. Kolejny odcinek działał, jednak pogardziliśmy luksusem. Moskiewscy narciarze, dla których byliśmy atrakcją turystyczną, nie mogli zrozumieć, dlaczego idziemy pieszo niosąc po 30 kg. Tego dnia dotarliśmy w okolicę stacji Mir (3500 m n.p.m.) i tam spaliśmy w namiocie. Znów zimno, szron w namiocie, mokre śpiwory – czyli po hotelowych luksusach wszystko wraca do normy.

Kolejny dzień to podejście do położonego na 4100 m n.p.m. obok ruin Prijuta 11 schronu Walerego. Jak się później okazało, ta drewniana chatka, w której temperatura w dzień wahała się między -6 a -20 stopni, miała stać się naszym domem na kolejne sześć dni. W schronie spędziliśmy piątek, z krótką przerwą na aklimatyzacyjny spacer pod Skaty Pastuchowa. Ku naszemu zaskoczeniu dobra pogoda pozwoliła ratrakom wywozić narciarzy aż tutaj, my mogliśmy więc podchodzić bez rakiet. Asię dopadł jakiś kaszel, ale mieliśmy nadzieję, że będzie dobrze.

Wyjście na atak szczytowy zaplanowaliśmy na najbliższą noc. Po długich debatach i konsultacjach z przebywającymi w chatce Rosjanami oraz wymianie smsów z Polską, zrezygnowaliśmy z pomysłu rozbijania się przy Pastuchowie. Mógłby tego nie przetrwać tak

namiot, jak i my. Z prognoz wynikało, że trzydniowe okno pogodowe miało się skończyć właśnie teraz, kiedy tak bardzo go potrzebowaliśmy. O ile więc w ogóle mogliśmy myśleć o ataku, należało go przeprowadzić stąd. Uda się albo nie. Wiedzieliśmy, że szans na biwak po drodze w tych warunkach nie ma. Przeciętny czas zdobywania szczytu zimą to 14 godzin.

Sobota, 21 luty, godz. 1:00. Brutalny dźwięk budzika. Temperatura jak na zimą i wysokość 4100 całkiem znośna, wiatr też. Tylko widoczność kiepska, no i ciągły opad. A jednak o 2:20 wyruszyliśmy. Przy Skałach Pastuchowa, w ostatnim miejscu, z którego można było w pojedynkę bezpiecznie się wycofać, Asia postanowiła zawrócić. Paweł i ja poszliśmy dalej. Widoczności nie było żadnej, śnieg zaklejał oczy, ale pozostawał jeszcze GPS. Niestety rzetelnych map GPS Kaukazu nie udało nam się zdobyć. Ślad, wzdłuż którego szliśmy, biegł jakoś dziwnie. Na zmianę: czarny lód, połogi wprawdzie, ale tak twarde, że nie wchodziły w niego raki, nie mówiąc o jakiegokolwiek możliwości hamowania w razie lotu, lub ukryte pod śniegiem szczeliny.

Do dziś nie wiemy, gdzie dokładnie doszliśmy. Wycofaliśmy się z ok. 5100 m n.p.m., gdzieś spod przełęczki między zachodnim i wschodnim wierzchołkiem Elbrusa. I znów szczeliny, lód, szczeliny, lód. I strach, żeby nie zostać tu, na tej „górze dla leszczy”. W końcu nad Skałami Pastuchowa trasery. A więc jednak są! Trzeba zapamiętać ich przebieg przed kolejnym atakiem, który również musi rozpocząć się nocą. Wreszcie spotkanie z Asią, która wyszła nam naprzeciwko, no i powrót do „domu” czyli chaty Walerego.

Wiedzieliśmy, że niedzielę musimy poświęcić na odpoczynek. Zresztą pogoda miała być jeszcze gorsza. Na poniedziałek zapowiadano nieznaczną poprawę, przygotowaliśmy się więc do kolejnego ataku. Wieczór po nieudanej próbie ataku spędziliśmy miło z Rosjanami, jednak nazajutrz rano oni zeszli do cywilizacji, a my zostaliśmy sami.

Co można robić zimą w niezbyt upalnym schronie na 4100 m, nie mając książek, nie mogąc nawet włączyć komórek, aby bateria starczyła na odbiór smsów a prognozami? Nic. I tym się właśnie zajmowaliśmy. Życie stało się proste. Najpierw rano trzeba było wyjść ze śpiwora. Zimniej tu niż w namiocie, ale za to śpiwór suchy. Po wyjściu, nabraniu śniegu i „nastawieniu wody”, przygotowania psychiczne do wyjścia za potrzebą. Gdy jedna osoba wychodziła, pozostali trzymali kciuki, by wróciła bez odmrożeń. Resztę dnia zajmowało przygotowanie i spożywanie posiłków. A jedzenia w tych temperaturach, mimo braku ruchu, potrzebowaliśmy sporo. Ewentualnie można było umyć zęby lub „wykąpać się” chusteczkami odświeżającymi, po kilkugodzinnym ich rozmrażaniu. I tak mijał dzień, na nic innego nie było czasu. Bo przecież o „osiemnastej w nocy” trzeba już było być w śpiworach i przytulając się do termosy, botków, puchów i tysiąca innych rzeczy, które należało uchronić przed chłodem lub wysuszyć, próbując zasnąć czekać na pobudkę o pierwszej. Elbrus czekał.

Poniedziałek 23 luty. Znowu pobudka o pierwszej. Warunki niestety takie same jak dwa dni wcześniej. I znów tak samo spędzony dzień. Europejskie pojęcie straconego czasu przestało istnieć. O tym, że czas się jednak nie zatrzymał, przypominał tylko kurczący się zapas liofilizatów i bilet z datą powrotu do Polski. Zdążymy czy nie? Meteo nie napawało optymizmem. We wtorek trochę lepiej, choć nie idealnie. Ale później znów całkiem źle.

Wtorek 24 luty. Standardowo pobudka o pierwszej. Inna tylko sceneria za oknem. Wiatr i sypiący śnieg nie zniknęły, za to po raz pierwszy od dawna zobaczyliśmy gwiazdy. O 2:30

wyruszyliśmy ze schronu. Podobnie jak ostatnim razem Asia wycofała się przy Pastuchowie. Bardzo chciała iść, ale czuła jeszcze skutki choroby. My też wiedzieliśmy, że kolejnej szansy może nie mieć. Ale to było jedyne sensowne rozwiązanie. W końcu przede wszystkim chodzi nie o to, aby wejść, lecz aby zejść.

Paweł i ja napieraliśmy dalej. Znaleźliśmy pierwsze trasery i ich linii się trzymaliśmy. Niestety śnieg sypał coraz mocniej. Ciemność, śnieg, zamarzające na rzęsach wielkie kawałki lodu – przez to wszystko niewiele widzieliśmy i najtrudniejszy odcinek, gdzie niektórzy zimą wkręcają śruby, przeszliśmy z... kijkami. Kiedy zorientowaliśmy się, że wypadłoby zamienić jeden z kijków na czekan, na postój i zdjęcie plecaka nie było już szans. No to szliśmy dalej. Ostrożnie, wyrabując rakami każdy krok, przeszliśmy czarny lód, aż wreszcie podłoże stało się lepsze a trasa zaczęła skręcać. Temperatura wymuszała niezłe tempo. Świt zastał nas na trawersie tuż przed przełęczą między dwoma wierzchołkami. Najzimniejszy czas przed wschodem słońca był dla mnie jednym wielkim kryzysem. Każda operacja – ubieranie puchówki, zgaszenie czołówki, zdjęcie czy założenie plecaka, wymagała zdjęcia wierzchnich łapawic. To powodowało w momencie utratę czucia w palcach, później długie przywracanie ich do życia, wycie z bólu, kiedy czucie wracało... a potem z reguły znów trzeba było w jakimś celu zdjąć rękawiczki. W nogi zimno było cały czas, ale czucie dało się utrzymać ruszając palcami. Paweł miał lepiej. Mężczyźni faktycznie mają lepszą termikę - zazdroszczę. Raz chcąc mnie wyręczyć w którejś z operacji sprzętowych Paweł stracił łapawicę. Rzucił się za nią w dół. O dziwo zatrzymał się i on i łapawica. Uff.

Na przełęcz doszliśmy powoli, w skuleniu przeczekując najsilniejsze podmuchy wiatru. Tutaj byliśmy tak zmęczeni i wychłodzeni, że postanowiliśmy odpocząć w naturalnej jamie, o której mówili Rosjanie. Wydobywa się z niej gaz wulkaniczny, a wewnątrz panuje podobno upał +8 stopni! Niestety jama była zasypana. Na przełęczu znaleźliśmy za to szczątki namiotów. Nie było mowy o ich odkopaniu, były „zabetonowane” śniegiem; miejmy nadzieję, że nikogo w środku nie było. My póki co martwiliśmy się o siebie. Batony konsystencją przypominały cegłówki, a termosy zamarzły tak, że dopiero po kilkunastu minutach chuchania udało się je odkręcić. Ale warto było się pomęczyć. Trochę ożyliśmy. Zrobiło się też nieznacznie cieplej. Ruszyliśmy do góry.

I tutaj pojawił się kolejny problem. Wydychane powietrze z masek windstopperowych leciało w górę wprost na szkła okularów, gdzie w momencie zamarzało. Na szczyt poszliśmy więc, o zgrozo, bez okularów. Szliśmy powoli. W końcu aklimatyzację mieliśmy do 4100m, a Elbrus ma 5642. Przewyższenie jak na całkiem porządnym zawodach skialpinistycznych, tyle że trochę wyżej.

Na zboczu wyraźnie rysował się ślad ścieżki z lata. Jeszcze jeden zakręt, jeszcze jeden wierzchołek i... nic nie pozostawiało wątpliwości, że to ten najwyższy. Słupek, chorągiewki modlitewne i, ku naszemu zaskoczeniu, gitara. Kto ją tu przytaszczył latem? Nieważne. Szybki rzut oka na piękno gór dookoła, żeby zachować ten obraz w pamięci i kontemplować w bardziej sprzyjającej temperaturze. Lekki stres, czy aparaty wytrzymają. Wytrzymały, nie będzie trzeba iść tu jeszcze raz. Po sesji zdjęciowej jak najszybciej w dół.

Na przełęczu przywitał nas już zupełnie inny świat. Można było zdjąć puchówki, zewnętrzne łapawice. Dopiero teraz zorientowaliśmy się, że mimo całej ostrości bez odmrożeń się nie obeszło. Paweł miał czerwony nos, ja zamiast prawej połowy twarzy

poczułam coś dziwnego, co wkrótce miało stać się wielkim bąblem. No trudno, i tak było warto. Teraz trzeba było wydobyć z siebie rezerwy sił i zejść.

Przed Pastuchowem zaliczyliśmy jeszcze jedną przygodę. Ja nie mając sił wbijać raków w twarde czarny lód, postanowiłam pójść naokoło, lepszym lodem białym. Straciliśmy się z oczu, prawie wpadłam do szczeliny... w końcu jednak znów się zobaczyliśmy, a po chwili już Asia poiła nas czekoladą przy Pastuchowie. W chatce Walerego byliśmy ok. 13:00. 10,5 godziny to czas jak latem. Ale wolniej się nie dało, zamarzlibyśmy. Wchodząc do schronu zobaczyliśmy, jak nad wierzchołkiem kotłują się ciemne chmury. Dostaliśmy swój czas. Wyczekaliśmy go i dobrze wykorzystali co do minuty.

Dalszy ciąg historii to już ostatni wieczór i noc w chacie, decyzja Asi, by jednak nie czekać na Rosjan, którzy raczej się nie zjawiają i nie zaatakują góry, wreszcie zejście kolejnego dnia na dół i szok zetknięcia z cywilizacją. Dla cywilizacji zetknięcie z nami, biorąc pod uwagę nasz wygląd i zapach, też musiało być szokiem. Na szczęście pan Uzejr z hotelu Alpina w Azau zadbał o to, by nas owej cywilizacji przywrócić. Najedzeni i wykąpani, z lekkim bólem głowy, w czwartek 26 marca udaliśmy się do Terskolu, by spełnić marzenie ostatnich dni i zjeść sałatkę. Rozbiliśmy namiot koło stacji ratowników. Jednak rosyjska gościnność nie pozwala, by przybysze, zwłaszcza po zejściu z góry, spali w namiocie. Aż do poniedziałku, czyli dnia wylotu do Polski, poznani przewodnicy obficie raczyli nas jedzeniem i... napojami, zaś moskiewska snowboardzistka Ania zapewniła cywilizowane spanie za półdarmo oraz częstowała rosyjskimi specjałami.

Nie da się zaprzeczyć, iż nie byliśmy wielką, poważną wyprawą. To była raczej namiastka tego, czym jest zima w górach wysokich. Namiastka, która wystarczyła, abyśmy do Polski wracali z poczuciem wykonania sporego kawałka dobrej roboty. I z jeszcze większym niż dotąd szacunkiem dla wszystkich tych, którzy zimą atakują szczyty najwyższe. Bo zimy z latem nie da się porównać.